NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 12·50. Półrocznie kor. 25·—. Rocznie kor. 50·—. Do Niemiec: Kwartalnie 13 kor. 25 hal. Półrocznie 26 kor. 50 hal. Rocznie 53 kor. — hal. z przesyłką pocztową. W Ameryce: Kwartalnie 13 kor. 80 hal. Półrocznie 27 kor. 60 hal. Rocznie 55 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 40 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 56 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 31.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 1 koronę.

Rok XV. **Kraków, 10 sierpnia 1918.** **Nr. 31.**

Otwarcie Smoczej jamy na Wawelu.



Grupa gości na uroczystości otwarcia przed nowem wejściem do jamy.

Treść numeru: Austryacka para cesarska w Pressburgu. — Wielka bitwa we Francyi. — Ministrowie Polacy w rządzie austryackim — Japończycy w Syberyi. — Na weneckiej równinie — Tragedya Ukrainy. — Katastrofa kolejowa w Oświęcimiu i t. d.

Otwarcie Smoczej jamy na Wawelu.



Otwarcie Smoczej jamy na Wawelu: Stare wejście do Smoczej jamy, które zostało usunięte.

Owiana legendarnym urokim „Smocza jama“ na wzgórzu wawelskiem otworzyła znowu swoje podwoje. Kilkanaście ostatnich lat była ona niedostępną dla zwiedzających, gdyż wejście do niej, prowadzące po drewnianych schodach, ząb czasu zniszczył i z powodu niebezpieczeństwa dostęp do niej zamknięto. Wśród historycznych pamiątek Wawelu jest to jedna z najstarszych i najciekawszych. Początek jej, to jeszcze owe prastare czasy, kiedy po pol-



Otwarcie Smoczej jamy na Wawelu: Nowe zejście do Smoczej jamy od strony Wisły.

skiej równinie toczyły swe fale wody oceanu. O skałę Wawelską rozbijały się burze i żłobiły w jej wnętrzu chodnik tajemny i głęboki. Legenda ludowa osnuła pieczary te tajemniczym mytem. Wawelska grota miała być siedzibą smoka, który postrachem trzymał pod swą władzą całą okolicę i żył jej kosztem. Aż przyszedł i na niego tragiczny koniec. Pierwszy władca tych okolic, Krakus, wystąpił z nim do walki i pokonał go... podstępem.

Tak było przed wiekami. Potem przyszły czasy mniej postyczne, a bardziej realne. Zamiast „smoka“ wawelskie groty kryły w swem wnętrzu przewyborne węgrzyny, małmazye i likwory, aż i te czasy przeminęły. Smocza jama pozostała samotna i opuszczona, jedynie jako pamiątka przeszłości.

Dzięki zapobiegliwości zarządu zamku królewskiego, a wedle planów architekta prof. Szyszko-Bohusza i pod jego kierownictwem wybudowano nowe wejście do groty i uporządkowano wnętrze. W miejscu dawnej studni austryackiej, na stoku wzgórza prowadzą do groty kręte schody o 136 stopniach, oświetlone światłem dziennem, a w dolnych częściach lampkami elektrycznemi. Między pięterkami schodów umieszczono ławki drewniane.

Wnętrze pieczary dzieli się na kilka obszernych sal. Już pierwsza antykamera, mająca kilka metrów wysokości i mogąca pomieścić swobodnie kilkanaście osób, sprawia silne wrażenie sklepieniem jurasowego wapienia, wyżłobiona wodą morską w czasach, gdy niż polski zalewały wody oceanu. Druga grota, właściwa, można powiedzieć smocza świetlica, przedstawia się jak wielka, ponad 10 metrów wysoka, obszerna sala, fantastycznie powyginana załamaniami skały, z dwoma głazami w pośrodku. Przeszedłszy trzecie wnętrze, znajdujemy się w piwnicy, stare czasy pamiętającej winiarni, gdzie pozostały jeszcze gotyckie odrzwia z XIV. wieku i wspaniałe w ogólnym rysunku schody kamienne wraz z częściowem obmurowaniem sklepienia. Tu stały ongiś rzędy beczek z niechrzczonym zapewne węgrzynem. Dłu gość całej pieczary, od wejścia ze schodów aż do sklepień piwnicy, wynosi około 60 metrów. Dno pieczary, położone metr ponad wysokością fali rze



Otwarcie Smoczej jamy na Wawelu: Wnętrze wielkiej pieczary Smoczej jamy.

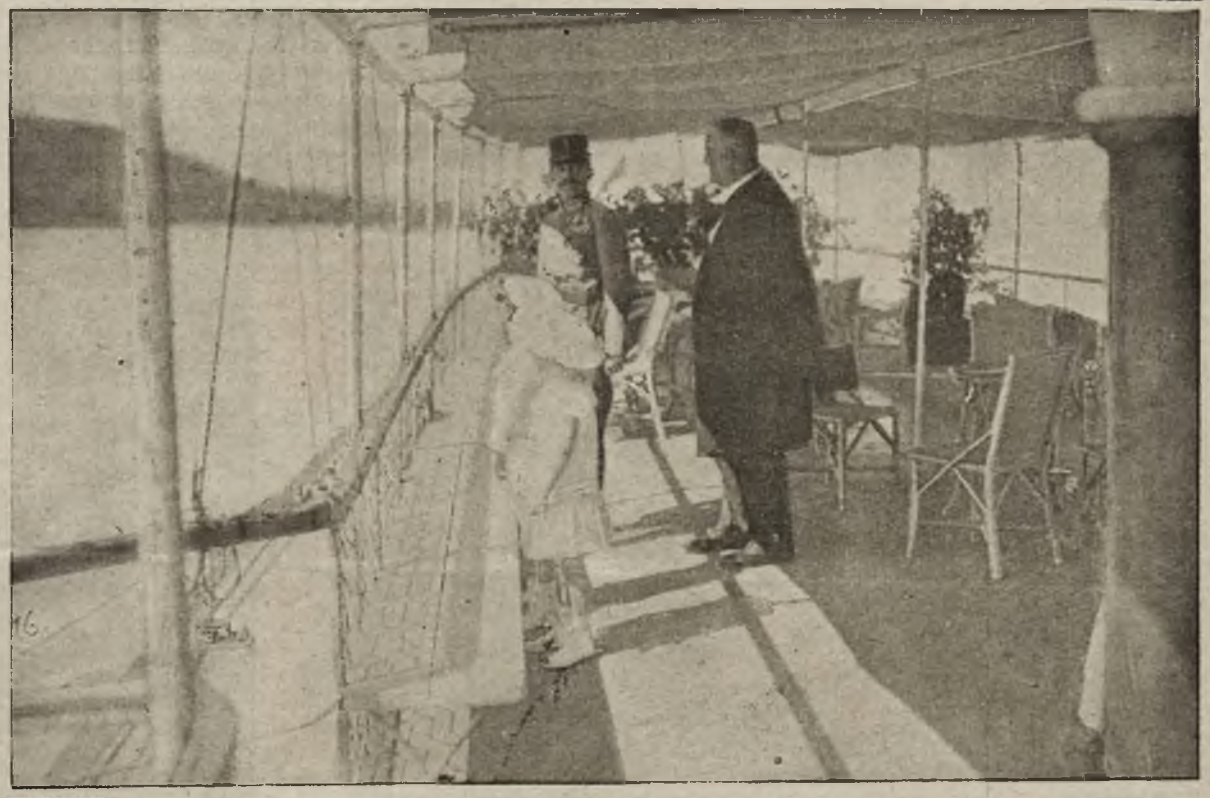
cznej, wysypano obficie piaskiem wiślanym. Piękno skalnego podziemia wyzyskano bardzo umiejętnie i efektownie przez odpowiednie rozmieszczenie lamp elektrycznych, które, oświetlając skały, pozostają niewidzialne i robią wrażenie okien rzucających promienie.

Otwarcie groty nastąpiło w uroczysty sposób przy udziale przedstawicieli władz i świata dziennikarskiego. Szczegółowych wyjaśnień udzielał i po wnętrzu oprowadzał prof. Szyszko Bohusz.

Austryacka para cesarska w Preszburgu.

Wśród trudnych warunków sprawuje cesarz austryacki Karol swe rządy. Objąwszy władzę w chwili, gdy cały świat prawie płonie w ogniu wojny, młody monarcha kierując nawą takiego państwa, jak monarchia austro-węgierska, musi umieć nie tylko pogodzić aspiracye różnych narodowości, monarchię zamieszkujących, ale także krzepić ducha tych, którzy w codziennej trudnej walce niosą ofiary dla państwa. To też cesarz nie skąpi trudów, aby bezpośrednio zetknąć się z ludnością i częste wycieczki czyni po kraju osobiście jako dobry gospodarz, badając na miejscu stosunki i żale ludności.

W ubiegłym tygodniu para cesarska odwiedziła Preszburg na Węgrzech, dawne koronacyjne miasto. Z zamku Eckartsau, gdzie cesarstwo wraz z dziećmi spędzają letnie miesiące, udali się Dunajem do Preszburga. Jacht cesarski „Ferencz Joszef“, uroczyście przybrany, przewiózł ich, a cała droga, aż do przystani w Preszburgu, była jednym ciągiem owacyi urządzanych przez ludność nadbrzeżną monarsze.



Austryacka para cesarska w Preszburgu: Cesarz Karol w towarzystwie węgierskiego premiera Wekerlego na pokładzie statku dunajowego. (Woj. kwat. pras.)

W miejscu gdzie Dunaj, przeciskając się pomiędzy górami, wypływa na równinę węgierską poprzez t. zw. „Porta Hungarica“, obok wioski Deveny, nastąpiło pierwsze powitanie ze strony Węgrów.

W Preszburgu przyjmowano parę monarszą bardzo uroczyście. Zapał zgromadzonych tłumów podniecało jeszcze i to, iż w towarzystwie cesarza znajdowały się obok cesarzowej Zyty, także i dwoje ich dzieci, arcyksiążę następca tronu i arcyksiężniczka Adela. Kiedy na wzgórzu koronacyjnem, po przemowach, zabrzmiały dźwięki hymnu węgierskiego, cesarz wraz z zgromadzonymi odśpiewał go donośnym głosem.

Oficyalne przyjęcia odbyły się w pałacu arcyksięcia Fryderyka. Po południu zwiedzała para cesarska miasto, oraz wzięła udział w bazarze dobroczynnym, urządzonym w ogrodzie nad brzegiem Dunaju, na rzecz inwalidów wojennych. Gdziekolwiek cesarzowa z dziećmi się zjawiła, były te ostatnie przedmiotem radości zebranych. Otrzymały także wiele podarunków.



Wielka bitwa we Francyi: Cofający się z przednich stanowisk pod naporem nieprzyjaciela patrol niemiecki. (F Bufa

Wielka bitwa we Francyi.

Ostatnie dni przyniosły w odpowiedzi na ostatnią ofenzywę niemiecką silną kontrofenzywę francuską. Wypadki na zachodnim terenie walki zdają się dobiegać do stanowczego rozstrzygnięcia, do którego obie strony z równą zaciekłością dążą. Generał Foch zgromadził między Paryżem a Verdun wszystkie rezerwy, jakiemi koalicya rozporządzała i postanowił wymusić na Niemcach ostateczną i rozstrzygającą walkę. Moment odpowiedni do rozpoczęcia działań wojennych nastręczył się mu w chwili, gdy Niemcy, ufni w swe siły, przeszli przez Marnę, zagrażając bezpośrednio Paryżowi.

Niemiecki klin ofenzywny, oparty o dwa silne przyczółki, mianowicie ubezpieczenia pod Soissons i Reims, w chwili największego rozwoju ofenzywy niemieckiej sięgał aż do Chateau Thierry nad Marną. Na przestrzeni między miejscowościami Jaulgonne i Mareul dotykał prawego brzegu rzeki, zaś na południe od Dormans przechodził na drugą stronę, gdzie Niemcom udało się zdobyć i ubezpieczyć silny przyczółek mostowy.

Ofenzywa generała Focha uderzyła w boki trójkąta, utworzonego przez linie niemieckie. Była ona tak skuteczna, iż Niemcy musieli linie swe cofnąć.

Klin, jaki Niemcy wbili w armie francuską, chcąc ją rozdzielić na dwie części, wskutek szczęśliwie wybranego pola ataku francuskiego znacznie się zmniejszył.

Obecnie, skutkiem przegrupowania odpadł temu klinowi przedewszystkiem wierzchołek. Stał się więc znacznie tępszym, ma już formę nie trójkąta, lecz raczej trapezoidu. Linia odcięcia wierzchołka znajduje się na przestrzeni pomiędzy Fère en Tardenois i Ville de Tardenois. Zmienie uległy także kąty nachylenia boków klina. Bok zachodni przesunął się — nie zmieniając punktu swego węglowego Soissons — znacznie ku wschodowi.

Obok tego stał się znacznie krótszym. Końcowy jego punkt przypadał na Château-Thierry, obecnie znajduje się w przestworzu Fère en Tardenois, a więc okrojony został do połowy. Podobnemu procesowi uległ także bok południowy. Zepchnięty został ku północy i skrócił się w jeszcze wyższym stopniu niż tamten drugi. Już w tem stadyum skrócenie frontu, uzyskane przez Niemców, wynosi prawie jedną trzecią pierwotnej jego długości.



Austryacka para cesarska w Preszburgu: Powitanie pary cesarskiej przez przedstawicieli gminy żydowskiej w Preszburgu. (Woj. kwat. pras.)

Głębokość terenu, odzyskanego przez koalicyę, prawie wszędzie nie przekracza głębokości 20 klm. Także na południe — a właściwie, wyrażając się ściślej: na południowy zachód — od Reims przyszło do gorącej walki. Komunikat wspomina o linii Chambrecy Vrigny, jako objętej ogniem. Znaczy to, że ców wynoszące przeszło 20 000 jeńców francuskich. Zapytać trzeba, czy w obecnych warunkach jest możliwe ostateczne rozstrzygnięcie strasznego boju na Zachodzie? Po stronie niemieckiej na tym froncie zgromadzono prawdopodobnie już wszystkie rezerwy, jakiemi Niemcy rozporządzają. Po stronie Niemców ku północy uderzył wprawdzie na nich na nowo, ale czyni to nie tak energicznie jakby się po pierwszych jego wystąpieniach w obecnej walce spodziewać należało. Widocznie liczy na to, że armia jego niebawem o tyle się powiększy, iż nie tylko jak obecnie liczebnie dorówna sile niemieckiej, ale



Na zburzonym domu ustawiają Niemcy karabiny maszynowe.



Wielka bitwa we Francyi: Pozycya artyleryi kryjącej odwrót, maskowana zwaliskami domu. (Fot. Bufa)

Foch zamierzał rozbić wschodni bok trapezoidu, jaki utworzył się z klina ofenzywy niemieckiej.

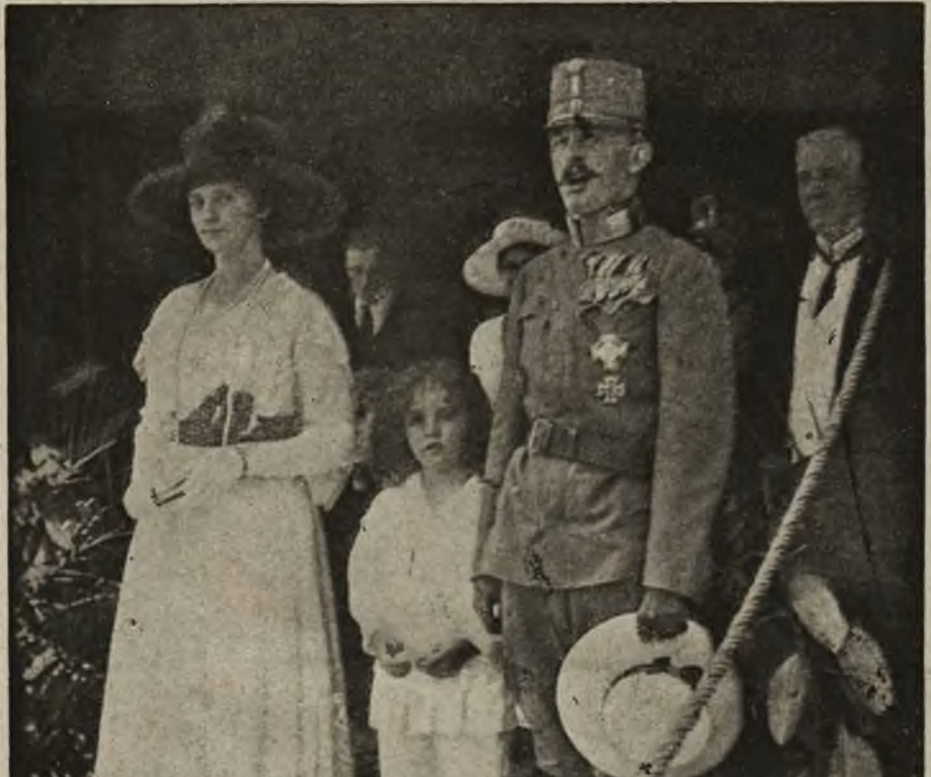
Gdyby nie skuteczny opór Niemców, którzy odparli te ataki, wojska walczące na głównej linii obrony (pomiędzy Fère en Tardenois i Ville en Tardenois) byłyby narażone na obejście tyłów.

O ile wnosić można z doniesień francuskich właśnie takie obejście frontowych obronnych linii niemieckich było zamiarem ofenzywy generała Focha. Obecny front niemiecki nie przedstawia jeszcze ciągle dostatecznej osłony przed możliwością udania się takiego manewru w przyszłości. Linie niemieckie ciągle jeszcze są wystawione na flankowy ogień francuski, zarówno od strony Soissons jak i Reims i przełamanie frontu w jednym z tych punktów mogłoby dla wojsk niemieckich, walczących koło Fere en Tardenois, stać się początkiem klęski.

Wedle doniesień francuskich liczba jeńców wziętych w ostatnich operacyach wynosi przeszło 30.000 Niemców. Temu przeciwstawiają się zdobycze Niemkoalicyi jeszcze to nie nastąpiło. W ostatnich czasach nic nie wiadomo o działalności armii angielskiej. Podejmowała ona wprawdzie miejscowe uderzenia na froncie flandryjskim, ale były to raczej operacye dywersyjne, nie właściwe ataki. Wprawdzie w wielkich bitwach flandryjskich armia ta poniosła wielkie straty, zostały one jednak już prawdopodobnie uzupełnione nowymi kontygentami. Jak utrzymują pisma szwajcarskie, armia angielska stoi obecnie poza frontem bojowym jako nowa rezerwa, którą generał Foch ma zamiar użyć dopiero, gdy Niemcy wyruszą do ostatecznej rozprawy. Nie należy także pomijać w obliczeniach posiłków, jakich coraz obficiej dostarcza Ameryka. Jak się obecnie okazuje, atak na brzegi Marny przeprowadzony był prawie wyłącznie siłami amerykańskiemi. Sprawozdania amerykańskie stwierdzają, że we Francyi stoi już obecnie milion dwieście tysięcy żołnierzy amerykańskich. Drugie tyle czeka w Ameryce na przewóz do Europy. Generał Foch zepchnąwszy ją znacznie przewyższy. A wtedy i on ruszy do ostatecznego boju.

Ośrodkiem walk obecnych są dwa miasta o bogatej historycznej przeszłości mianowicie Reims i Soissons. Zwłaszcza to ostatnie po przesunięciu linii niemieckich na nowe stanowiska znalazło się prawie bezpośrednio w linii bojowej, a tem samem zostało skazane na zupełne zniszczenie. Bogate pamiątkowe kościoły i pałace rozsypują się w gruzy pod uderzeniami granatów niemieckich i francuskich. Życie zamarło w nich zupełnie. Ludność cywilną usunięto już dawno. Dzisiaj panuje w obu tych do niedawna kwitnących miastach martwota śmierci, groza wojny.

W illustracyach naszych dajemy szereg obrazów przedstawiających te grozą przejmujące chwile, jakie na zachodnim froncie się rozgrywają. Walka na śmierć i życie... oto hasło tych okropnych zmagań.



Austryacka para cesarska w Preszburgu: Cesarz Karol z żoną i następcą tronu śpiewa wraz z tłumem w Preszburgu hymn węgierski. (W. kw. pr.)



Wielka bitwa we Francyi: Prowizoryczny opatrunek rannego w polu. (Fot. Bufa)

Adam Wiaryga-Minieski.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

3

— Prawda, dwadzieścia trzy lata... — powtórzyła matka — jak to czas leci.

— Gdyby nie wojna — dodała z pewnym żalem — byłbyś już może skończył uniwersytet, byłbyś doktorem prawa.

Legionista machnął ręką.

— E! Co tam o tem myśleć teraz.

— Przecież wojna nie długo skończy się. Powrócisz do studyów, do pracy... — pani Dowgirdowa wpatrzyła się w syna, jakby czekając potwierdzenia swych słów.

Tadeusz nie odpowiedział. Po chwili podszedł do matki i ujął ją za obie ręce, ręce małe, kształtne, delikatne, z widocznymi jednak śladami grubej pracy kuchennej.

— Teraz ty się pokaż, matuchno, jak wyglądasz... O! zmizerniałaś mi trochę... To niedobrze!

— Zdaje ci się tylko, Tadziu — odwróciła nieco głowę — ale chodźmy, czas siadać do stołu. Tyś pewno głodny?

— Jak wilk, mamusiu!

— W tej chwili podaję.

— Ale to widzę, parada! Ryba, kluseczki z makiem, buchta z powidłami, strucla migdałowa, makownik!...

— Dzięglewscy odstąpili mi trochę białej mąki, cukru... Oni mi dużo przysług oddają. A tę strucelkę migdałową to już Jania sama upiekła dla ciebie. Pamiętała, że ty lubisz...

— Doprawdy? — zdziwił się.

— Ach! To takie dobre, miłe dziewczątko. Zauważyłeś, jak wyładniała?

— Wyładniała? Być może... Zdaje się, że rzeczywiście — odparł z pewnem roztargnieniem, myśląc widocznie o czem innem.

— Dużą mam z niej pociechę w mojej samotności. I jak ona ciebie zawsze wspomina! — dorzuciła Dowgirdowa z lekkim naciskiem.

— No, to ma lepszą pamięć odemnie, bo ja, przyznam się, że dzisiaj dopiero przypomniałem sobie o jej istnieniu.

— Nie miałeś czasu myśleć o pannach... A może zgubiłeś gdzie serce na kwaterze, łobuzie? — spytała pani Dowgirdowa, z ledwo uchwytnym niepokojem.

— O! nie! — odpowiedział tak żywo, że aż matka spojrzała na niego zdziwiona.

Weszli do pokoju. Pani Dowgirdowa wzięła opłatek z talerza. Ręka jej drżała silnie. Powieki mrugały nerwowo, bo ta kobieta, która już wiele bolesnych strat przebolała, nie lubiła płakać w obecności ludzi, nawet w obecności syna.

— Tadziu, życzę ci, żebyś na przyszły rok... już w wolnej Polsce...

— I ja mamusi życzę... życzę...

Nie mógł dopowiedzieć, bo go coś dławiło. Pochylił się tylko w milczeniu do ręki matczynej.

— Moje dziecko... Tadziu...

Pani Dowgirdowa czując, że dłużej nie zdoła zapanować nad cisnącemi się do oczu łzami, podreptała do kuchni. Za chwilę powróciła z wazą pełną barszczu, który pachniał grzybami.

Tadeusz ochoczo zabrał się do jedzenia. Matka sama jadła niewiele, lecz z ogromnem zadowoleniem patrzyła, jak syn podawane przez nią potrawy pochłania formalnie, przychwalając kiedy niekiedy.

— Wyśmienite!... Wyborne!... Doskonałe!...

Nie chcąc mu przeszkadzać, nie odzywała się prawie wcale. Dopiero gdy przyszła kolej na ciasto, jabłka i orzechy, rzekła:

— Opowiedzże mi teraz, Tadziu, coś o sobie, o was wszystkich. Co wy teraz robicie, wy legioniści?

- My? nic. — Równe brwi Tadeusza zbiegły się nagle nad jego głęboko osadzonemi, ciemnoniebieskiemi oczyma.

— Jakto?

— A cóż robić możemy? — w głosie Legionisty brzmiała nuta bolesnej ironii — Czekamy.

— Na ostateczne uformowanie rządu polskiego? Przecież lada tydzień powinni was wcielić do armii polskiej! — nacierała pani Dowgirdowa.

— Nie wiem — odparł krótko.

— Tadek! ty coś ukrywasz przedemną!... Co się dzieje?! Mów!

Tadeusz przestał jeść. Podniósł rękę do czoła i potarł je.

— Nie, mamo, nic nie ukrywam. Tylko nie wiem... naprawdę nie wiem — odpowiedział prawie z jękiem. — Nie pytaj więc... Tyle ci tylko powiem, że ciężką jest dola żołnierza polskiego i że trudno znaleźć drogi do Polski. Bo nie idą one ze Wschodu ani z Zachodu, tylko szukać ich trzeba samemu.

Pani Dowgirdowa pobladła tak, że twarz jej drobna i okrągła świeciła niby biały krążek opłatka.

— Tadziu, ty zwątpiłeś?!... Ty, taki zapalony, ty, jeden z pierwszych...

Tadeusz wyprostował się. W źrenicach zapaliły mu się złote iskry. Jego rysy energicznie i oryginalnie wykrojone, ale nieregularne, zajaśniały w tej chwili dziwnie szlachetną pięknością.

Spojrzenie matki padło mimowoli na jeden z rozwieszonych po ścianach rodzinnych portretów.

—"Jaki podobny... — mignęła jej myśl i zabobonna trwoga ścisnęła serce.

— Nie, mamo, nie zwątpiłem! Nie chciej mnie źle rozumieć! Można wątpić w ludzi, w rządy, w wypadki, ale nigdy w tę gwiazdę, która nas wiodła! Ona nie zagaśnie i jeśli nie my, to inni...

Na czole pani Dowgirdowej poznać było skupioną pracę myśli. Praktyczny zmysł życiowy podszeptywał jej rady.

— Tadziu — szepnęła, pochylając się ku synowi — a gdybyś ty tak postarał się... Może to by się dało zrobić... Mamy przecież wpływowych znajomych, którzy mogliby dopomódz.

Legionista potrząsnął przecząco głową.

— Nie, mamo, nigdy! Musimy pamiętać, tak jak mógł książę Józef, że „Bóg nam powierzył honor Polaków..." Trzeba wytrwać do końca, jakikolwiek on będzie.

Zapanowało milczenie. Tadeusz podparł ręką głowę w zadumie. Pani Dowgirdowa kruszyła machinalnie w palcach kawałek ciasta.

Nagle w staroświeckim ściennym zegarze załopotało. Wyskoczyła kukułka i wykukała godzinę dziewiątą.

Tadeusz drgnął, zbudzony z zamyślenia. Uśmiechnął się. Przypomniały mu się dziecinne lata, kiedy to zegar z kukułką był przedmiotem jego ogromnego zainteresowania i podziwu i co godzina wywoływał wybuchy radości.

Młodzieniec rozejrzał się po pokoju.

— Jak tutaj nic się nie zmieniło — szepnął — jak tutaj miło, dobrze, zacisznie...

— Ech! — zawołał po chwili prawie już wesoło — co tam! Wszystko będzie jeszcze dobrze!

Wstał i zaczął obchodzić pokój dokoła, dotykając sprzętów, biorąc z półek książki, przyglądając portretom i obrazom, jakby się pragnął z niemi po długiem niewidzeniu przywitać.

Zatrzymał się wreszcie przed ustawioną w rogu oszkloną, empirową szafką, na której półkach leżały najdroższe pamiątki rodzinne.

Przekręcił kluczyk i otwarłszy szafkę brał po kolei do ręki: malutkie popiersie Kościuszki z alabastru, pieczątkę w kształcie głowy Napoleona, list jakiś pożółkły, pierścionek z Matką Boską, dziwnego kształtu złotą baniczkę do pachnideł, miniaturę pięknej damy w dekoltowanej sukni i pudrowanej peruce. W końcu sięgnął po wojskowy medal na przetartej wstążeczce i porównując go z własnym, który mu błyszczał na siwem suknie munduru, rzekł:

— Zupełnie podobny.

W tej chwili pani Dowgirdowa zerwała się z krzesła i podbiegając do syna wyrwała mu stary medal z ręki.

— Zostaw to, zostaw!

Legionista spojrzał zdziwiony. Uderzył go błędny jakiś strach w oczach matki.

— Dlaczego, mamusiu? O co chodzi?

Zawahała się przez chwilę czy mu powiedzieć. Wstydziła się sama przed sobą tej przesadnej trwogi, jaka nią ogarniała mimo jej woli.

Czuła jednak, że winna synowi wyjaśnienie. Zamykając szafkę na klucz, powiedziała z przymusem.

— Ten medal należał do twojego pradziadka, który umarł na San Domingo. Młody był, dzielny, rwał się do życia. W kraju zostawił żonę i małego syna. Z bitew wyszedł cało, zmiotła go żółta febra. Twojej prababce odesłano ten medal. To bardzo smutna pamiątka, lepiej jej nie ruszać.

Tadeusz słuchał uważnie. I znowu cień omroczył jego jasną twarz.

— San Domingo... San Domingo... czarna karta promiennej legendy... Czy to tylko aby ostatnie polskie San Domingo?

Przez długą chwilę słychać było w pokoju jeno tykanie zegara i oddechy matki i syna.

Tadeusz pierwszy otrząsnął się z przykrego wrażenia. Jego zdrowa młodość i wesoła, energiczna natura buntowały się przeciw smutkowi i przygnębieniu.

Widząc zasępioną twarz matki, zapragnął ją koniecznie rozweselić.

— Aha! — zaczął zupełnie swobodnym tonem — miałem mamusi coś pokazać. Doskonałe rysunki.

Sięgnął do kieszeni bluzki po portfel.

— Mam w moim plutonie malarza jednego. Kawał urwipołcia, ale ze złotem sercem chłop i ogromnie zdolny. Szczególnie karykaturzysta pierwszorzędny. O, proszę patrzeć! To karykatura naszego komendanta... przewyborna!... A to „markirant u doktora", tutaj ma mamusia „rozdawanie menaży", a to „Legun na kwaterze", a to znów moja mizerna osoba.

Usiadł przy matce i wyjmując z portfelu jeden po drugim świstki z ołówkowymi rysunkami, rozkładał je na stole.

Pani Dowgirdowa w pierwszej chwili spojrzała przelotnie, obojętnie. Gdzie jej tam było do oglądania karykatur, choćby najdowcipniejszych. Tadeusz jednak dodawał do nich tak zabawne komentarze, tak żywo, z takim humorem opowiadał żołnierskie dowcipy, że powoli udało mu się rozweselić matkę.

Posępny cień z San Domingo bladnął, rozwiewał się.

Poco truć się złemi przeczuciami, dręczyć czarnemi myślami, kiedy jej Tadek jest przy niej, zdrowy i wesoły. Cóż złego grozić może, gdy on dowcipkuje tak swobodnie i śmieje się tak szczerze?

Głuche obawy, niejasne przeczucia rzeczy, które być mogą, rozpływały się w promiennej chwili szczęścia, które jest.

Tadek jedynak, jej ukochanie, duma, pociecha najmilsza siedzi tu, przy stole, po tylu miesiącach rozłąki, tęsknot, niepokojów. Może patrzeć na niego, słuchać jego głosu i śmiechu.

Pani Dowgirdowa usiłuje odpędzić z mózgu natrętną myśl, że to tylko na osiem dni, na krótkich osiem dni. A potem... Co tam! Nie myśleć teraz, co będzie potem.

Wisząca lampa świeciła jasno, krzesając złotawe błyski w ciemno-blond włosach młodego Legionisty, a matce Tadeusza było tak, jakby w jej skromnym pokoiku wzeszło słońce.

Pani Dowgirdowa zaśmiała się kilkakrotnie, a śmiech miała dziwnie jeszcze młody, srebrzysty, nie tyle może rozbawiona wesołemi opowiadaniami ile upojona samym dźwiękiem głosu synowskiego.

— Widzi mamusia — objaśniał dalej Tadek — to jest tak zwany w kompanii „szklany Zyzio". Paniczyk, elegancik. Teraz, co prawda, elegancya już porządnie się sfatygowała. Opowiadają o nim, że dawniej, w „cywilu", to chodził w gorsecie, ręce na noc smarował goldkremem i sypiał w rękawiczkach.

Tadeusz urwał i uderzył się dłonią w czoło, jakby mu słowo „w rękawiczkach" przypomniało coś.

— Ach! cóż za fujara ze mnie! Toż ja zupełnie zapomniałem, że ja mamusi coś przywiozłem! W tej chwili przyniosę!

Zerwał się, odsunął z hałasem krzesło i pobiegł do drugiego pokoju, gdzie złożył swój plecak.

Matka spoglądała za nim rozpromienionemi oczyma.

Tadeusz widocznie nie mógł odrazu znaleźć szukanego przedmiotu, bo słychać było stuk jakichś rzucanych na podłogę pudełek i jednocześnie młodzieniec zawołał:

— A gdzież się to podziało?! A żeby to...

— Ależ Tadziu, któż to szuka po ciemku. Jeszcze przewrócisz coś, albo rozbijesz. Poczekaj, zaraz ci poświecę.

Pani Dowgirdowa wstała, aby iść do kuchni po świecę.

Odsuwając krzesło spostrzegła leżącą na ziemi fotografię.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Ministrowie Polacy w rządzie austryackim: Minister dla Galicyi dr. Kazimierz Gałecki.



Wielka bitwa we Francyi: Widok miasta Soissons, o które toczy się obecnie walka. (B. pr. Lip.)

Ministrowie Polacy w rządzie austryackim.

Austro-Węgry przeżywają w ostatnich czasach poważne polityczne wewnętrzne przesilenia. Pod naciskiem Koła Polskiego ustąpił gabinet dra Seidlera, a miejsce jego zajął dr. Hussarek, którego zadaniem jest doprowadzić do skutku wyrównanie różnic narodowych, jakie coraz silniej zagrażają wewnętrznej strukturze monarchii. Zmiana gabinetu pociągnęła za sobą także zmiany na stanowiskach ministrow. Ustąpili obaj polscy przedstawiciele w Radzie ministeryalnej, a w skład gabinetu weszło za zgodą Koła Polskiego, dwóch tęgich urzędników-obywateli.

Dr. Jerzy Madeyski objął kierownictwo ministeryum oświaty. Jest on synem b. ministra oświaty Stanisława Madeyskiego. Karyerę urzędniczą rozpoczął przy władzach politycznych w Galicyi, skąd przeszedł do ministerstwa oświaty. — W październiku 1917 został zamianowany szefem sekcyi. W ubiegłym roku w czasie urządzania administracyi w austryackim obszarze okupacyjnym Królestwa Polskiego mianowany szefem cywilnego komisaryatu w Lublinie, położył na tem stanowisku wielkie zasługi. Po ukończeniu rokowań z Ukrainą ustąpił wraz z gubernatorem Szeptyckim z tego stanowiska.

Ministerstwo dla Galicyi spoczęło obecnie w rękach szefa sekcyi, Kazimierza Gałeckiego. Urodzony w r. 1863, po ukończeniu studyów prawniczych wstąpił do służby państwowej, a w kilka lat powołany do ministerstwa skarbu, bardzo szybko dosłużył się rangi szefa sekcyi. Na stanowisku referenta spraw personalnych cieszył się wielką sympatyą i uznaniem. W Kole Polskiem posiada liczne grono zwolenników.

Nowi ministrowie polscy, posiadający tradycye zdolnych i dzielnych urzędników, mają przed sobą w obecnej chwili ważne zadanie do spełnienia. Przychodzi im bowiem występować w rządzie austryackim w imieniu Polaków i w obronie ich praw w momencie, kiedy kształtują się przyszłe losy Polski.



Japończycy na Syberyi: Przewóz podejrzanych Japończyków z Uralu do Moskwy (Fot Hegh)

Japończycy na Syberyi.

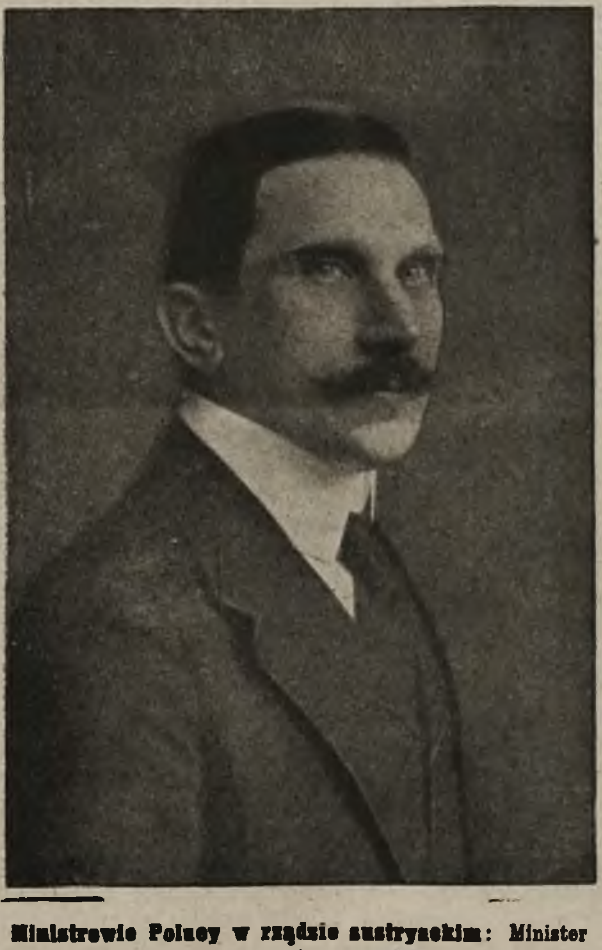
Koalicya zdaje się dopnie swego zamiaru. Na dalekim Wschodzie tworzy się nowy front bojowy i ponad Europą ukazuje się znowu „żółte" niebezpieczeństwo. Wycofanie się Rosyi z walki przeciw mocarstwom centralnym było dla koalicyi wielką stratą, przedewszystkiem militarną. Przy pomocy Japonii postanowiła ona sobie ją powetować. Czekano tylko sposobności. Ta zaś nawinęła się bardzo prędko. Znaną jest sprawa wojsk czesko słowackich, które obecnie walczą przeciw bolszewikom na Syberyi.

Z początku oddziały te nie miały zamiaru rozwijać operacyi wojennych w granicach państwa rosyjskiego, ich zamiarem było przedostać się do Władywostoku i stamtąd odpłynąć do Francyi i Anglii. Ale zachowanie się bolszewików zmusiło ich do samoobrony. Trockiemu nie dogadzały te zbrojne siły, które jego rozkazom nie podlegały i postanowił Czechów rozbroić. Wszystkie usiłowania przeprowadzenia tego nie odniosły skutku. Czesi nie tylko nie zostali rozbrojeni, ale zyskali sprzymierzeńców w oddziałach generałów Dutowa i Krasnowa, którzy pomiędzy Wołgą a Uralem podnieśli sztandar buntu przeciwko bolszewikom i zgromadzili około siebie licznych przeciwników moskiewskiej rady komisarzy.

W ten sposób rozpoczęła się nowa wojna na Wschodzie. Skierowana ona jest przeciw obecnemu rządowi rosyjskiemu, a następstwem jej jest, iż cała Syberya dzisiaj stoi w ogniu. Dwa kierunki ścierają się tutaj. W olbrzymich obszarach Syberyi wschodniej, opanowanych przez Czecho-Słowaków i miejscowe organizacye socyal-rewolucyjne, rozbrzmiewa dziś hasło nowej walki przeciw Niemcom, hasło obalenia pokoju brzeskiego przy pomocy koalicyi. Pozatem stoi Syberya wschodnia na gruncie republikańskim, propaganda monarchistyczna nie znajduje tu żadnego posłuchu.



Wielka bitwa we Francyi: Artylerya niemiecka zdobywa przejście w trudnym terenie. (Fot. Bufa)



Ministrowie Polacy w rządzie austryackim: Minister oświaty dr. J. Poray Madeyski.



Wielka bitwa we Francyi: Ulica w Soissons, zburzona pociskami armat francuskich. (Fot. Bufa)



Japończycy na Syberyi: Pierwsi jeńcy japońscy, wzięci w walkach z Czecho-Słowakami. (Woj kwat. pras.)

Inaczej zupełnie przedstawia się rzecz w Syberyi zachodniej. I tu widzimy silny ruch antibolszewicki i tu szerzy się kontrrewolucya, pod zupełnie jednak innym znakiem — wybitnie monarchicznym i o innym nieco duchu, bo nie wybitnie ententofilskim, lecz raczej rodzimym, od wpływów z zachodu prawie że oderwanym. Na czele ruchu monarchicznego stanął tu brat ex-cara, W. Ks. Michał, który sam wprawdzie zrzekł się praw do korony carów, osiadłszy jednak w Permie propaguje ideę kontrrewolucyjną i restytucyę rządów monarchicznych z tem, że na tronie carów osiąść miałby były następca tronu Aleksiej. Hasła te monarchiczne rozbrzmiewają dziś po olbrzymich obszarach Syberyi zachodniej aż po sam Ural.

Tę chwilę wykorzystali Japończycy. Za zgodą, a rzekomo namową, Ameryki i Anglii zmobilizowali wojsko, aby iść w pomoc oddziałom czesko-słowackim, walczącym przeciw bolszewikom. Zawarty został specyalny układ między państwami koalicyi, na podstawie którego Japonii zostały, za jej wojskową akcyę, przyznane rozległe przywileje w Syberyi.

Władywostok stanowi podstawę operacyjną akcyi japońskiej. Stąd wyjdzie zarzewie nowej wojny na Wschodzie, zarzewie dość silne, aby wywołać poważne komplikacye zarówno polityczne, jak i militarne.

Pierwszym krokiem Japończyków było obsadzenie wyspy Sachalinu. W r. 1914 została wprawdzie połowa tej wyspy przez Rosyę odstąpiona Japonii w zamian za dostawy amunicyi, jednak Rosya starała się utrzymać bodaj drugą połowę. Obecnie Japonia zajęła całą wyspę, tak, iż prawdopodobnie Rosya już jej więcej nie odbierze. We Władywostoku wyładowano już ogromny park kolejowy, który ma służyć do przewożenia wojsk na Zachód. Parku tego dostarczyła w części Japonia, w części Ameryka.

Najciekawsze w tej całej sprawie jest, iż koalicya zgodziła się na oddanie Japonii zupełnie sfery wpływów na dalekim Wschodzie. Nawet Ameryka nie oponowała, mimo iż krok taki stanowi znaczne rozszerzenie sił japońskich. Uczyniła to prawdopodobnie w tem przekonaniu, iż w ten sposób odwróci niebezpieczeństwo japońskie od siebie samej. Przed wojną bowiem ekspanzya japońska, mając zamkniętą przez Rosyę drogę do Azyi, kierowała się na wschód, na wolną ziemię Ameryki.

Czy Japonia zechce, zdobywszy sobie odpowiedni



Na weneckiej równinie: Austryacki żołnierz dzieli się swą menażą z włoskiemi dziećmi. (Woj. kwat. pras.)

wpływ na Syberyi, liczyć się z warunkami koalicyi i czy nie zaciąży jej pewnego dnia kontrola, wykonywana nad jej wyprawą do Syberyi, jest kwestyą, którą dzisiaj trudno przesądzić. W każdym razie o zajęciu Sachalinu w układach z koalicyą mowy nie było.

Podajemy kilka typów żołnierzy japońskich, którzy walczą już w szeregach czesko-słowackich i jako jeńcy znaleźli się w rękach armii sowietów rosyjskich.

Na weneckiej równinie.

Po wielkiej bitwie nad Piavą na froncie włoskim przycichły strzały armatnie. Obie strony walczące odpoczywają, zbierając siły do nowych, może jeszcze straszniejszych uderzeń. Duch wojny przyczaił się i czeka...

A poza frontem we wsiach i miasteczkach wre życie codzienne, może nie tak wesołe i spokojne, jak było przedtem, rok, dwa temu, ale w każdym razie jednako pracowite. Starsi, przybici wypadkami, żyją pełni żalu do teraźniejszości, twardej i groźnej. Jedynie młodzież, beztroska, bo jeszcze nie dotknięta bezpośrednio twardą ręką życia, umie i w takich warunkach znaleźć chwile dla wesołości i zabawy. Dawna forma zabaw „w wojnę“ przybrała dzisiaj i wśród „milusińskich“ kształty dostosowane do wymagań chwili. I tu błyszczą „szturm-hełmy“, dźwięczą karabiny. Illustracya nasza przedstawia taką zabawę „w wojnę“ dzieci włoskich w jednej z miejscowości weneckich. Przypatrzywszy się i nasłuchawszy w rzeczywistości o nowoczesnych formach walki, przenoszą je obecnie do swoich zabaw.

A mogą łatwo z temi wszystkiemi sprawami się zapoznać z bezpośredniej obserwacyi. Ciągłe kwaterunki wojskowe wprowadzają pod dach ich domów rodzinnych coraz nowych i ciekawych gości... żołnierzy. Dzieci zazwyczaj żyją z nimi w przyjaźni. Nieraz jadają z jednej misy, boć żołnierz chętnie lgnie do nich, gdyż niejeden w domu u siebie takie same własne pozostawił. Wśród wojennego chaosu tu jedynie spotykają się owe ciche sielanki, które czasem przypominają dobre, pokojowe stosunki.



(Woj kw pr.) **Na weneckiej równinie:** Włoskie dzieci bawiące się „w wojnę“.



Wielka bitwa we Francyi: Zniszczony pociskami artyleryi miotacz min. (L/p. b pr.)

J. H. Rosny.

Podwójne życie Piotra de Givreuse.

(Z francuskiego tłomaczyła M. J. MIGOWA)

13

II.

Filip pojechał drugi raz do Glaïeuls i w dalszym ciągu ponawiał swoje odwiedziny. Były to spotkania dziwne i podniecające.

Oboje niejako odradzali się po części, wywołując przeszłość z mroku niepamięci.

Filip poznawał każdą kokieteryjną minkę Teresy, każdy jej figlarny uśmiech, każde rozmarzone spojrzenie. W tym powrocie tkwił jakiś czar niewypowiedziany, mocny i odurzający. To była przeszłość, a jednak teraźniejszość. Przeżyte dawno, a jednak zupełnie nowe.

Urok, jaki obecnie wywierała na Filipa Teresa, był silniejszy, a inny niż ten, który przed kilku laty oszołomił młodego Givreuse'a.

Teresa, zdawało się, jakby odmłodniała. Było w niej mniej instynktowego okrucieństwa, a więcej świeżości uczucia.

U Teresy rzecz miała się inaczej. I ona przeżywała po raz wtóry przeszłość, ale w tem przekonaniu, że Filip i Piotr to dwaj różni ludzie. I ona w ruchach, w głosie, w spojrzeniach Filipa odnajdywała Piotra, ale to było dla niej to samo, co nowy rozkwit tego samego kwiatu.

Odnajdywała człowieka, który ją zdobył — w innym. A ponieważ kochała Givreuse'a i tęskniła za nim — więc to było dla niej jak upajające odrodzenie.

Młodo owdowiała — raz tylko po długim oporze uległa mężczyźnie. Po zerwaniu z Piotrem, przysięgła sobie, że nie chce już znać innej miłości, prócz małżeńskiej... Lubiła bowiem życie uregulowane i instynktowną odrazę czuła do zboczeń z prostej drogi.

Byłażby to miłość, to co teraz czuła dla Filipa. Sama nie umiała odpowiedzieć na to pytanie.

Bez oporu pozwalała unosić się chwili oszołomienia, tym przedziwnym cudem psychicznym, który nie mógł mieć jutra.

Pewnego dnia, gdy Filip zasiedział się dłużej niż zwykle, rzekła mu:

— Już jest zapóźno, aby pan mógł zdążyć na obiad do Carolles. Wie pan co?... Zjemy razem obiad.

Pożałowała zaraz swego zaproszenia. Skoro jednak przypomniała sobie, że za dwa tygodnie znajdzie się na falach Oceanu, wzruszyła tylko ramionami.

— Wszystko jedno! — pomyślała.

Obiad jedli na werandzie, mając przed sobą aksamitne kobierce trawników, przetkane różnobarwnem kwieciem i rzędy buków o czerwonych liściach i lip rozłożystych.

Było to właśnie w tym czasie, gdy lipy poczynają wydzielać swoją upojną woń.

Wieczór nadchodził powoli. Nietoperze, melancholijne dzieci zmroku, zaczęły swoje smętne tańce.

— Nie lubiłam nigdy zmierzchu! — rzekła Teresa, kładąc do ust truskawkę — Zdawało mi się zawsze, że to godzina obaw... godzina złych przeczuć... Roiło mi się, że te płomienie, które o zachodzie zapalają się w obłokach, mogą objąć pożarem całe niebo i całą ziemię.

— Ja zaś lubię zmierzch! — odparł Filip.

— Doprawdy?... Dzieci nie lubią nigdy zmierzchu... zwierzęta przeważnie także nie... To zupełnie naturalne. Zmierz jest zwiastunem żałoby w przyrodzie — nocy.

Młodzieniec nie odrywał wzroku od postaci swej towarzyszki, na którą ostatnie blaski zachodzącego słońca rzucały krwawo-złote blaski.

Kilka wielkich gwiazd ukazało się na niebie. Swierszcz jakiś ćwierkał w trawie. Wnet zawtórował mu drugi, potem trzeci. Orkiestra wieczoru.

Swietliki pozapalały swoje migotliwe światełka.

— I pomyśleć, że w kraju wojna! — ozwała się nagle Teresa i twarz jej zasępiła się — I że tylu naszych...

Nie dokończyła. Pochyliła głowę. Długą chwilę trwali oboje w milczeniu, zjednoczeni uczuciem bólu za Francyę.

— Czy pan pali? — przerwała wreszcie milczenie Teresa.

— Niewiele. I tylko wtedy, kiedy mi jest bardzo smutno.

— Szuka pan w dymie tytoniowym złudzeń?

— Tytoń nie daje mi żadnych złudzeń. On tylko rozprasza moje myśli. Dzisiaj wolę zapach lip.

— O! jak to słodko teraz patrzeć na panią! — szepnął Filip, tonem zdawna dobrze jej znanym.

Teresa drgnęła lekko, wyrwana z koła swych marzeń.

— Doprawdy? — rzekła z odcieniem szyderstwa — Czy pan jest zupełnie szczery w tej chwili?

— Wątpi pani o tem?

Potrząsnęła głowa.

— Chodźmy na spotkanie księżyca. Wychyli się on tam z za tych buków czerwonych.

Wstała i nie osłaniając niczem głowy szła ku trawnikom. Filip znał ją zbyt dobrze, by niewiedzieć, że to jest wyzwanie. Ale wiedział i to także, że Teresa lubi wyzywać dla kaprysu, przez ciekawość lub przez przekorę.

Cicho deptali miękką zroszoną trawę. Potem Teresa skierowała się na ścieżkę wśród gęstwiny buków.

Zapach włosów i ciała młodej kobiety zdawał się być silniejszym niż wonie roślin, przynajmniej Filip odczuwał go silniej. Słuchem łowił szelest jej sukien. Ilekroć obracał się, widział białą twarz, której rysy zacierały się i ciemną masę włosów.

Krew uderzyła młodzieńcowi do głowy. Chwycił małą rękę kobiecą i uwięził w swej dłoni.

— O!... — zawołała Teresa tonem wymówki.

Szybko i zręcznie uwolniła rękę. Powietrze przeciął śmiech jej, śmiech srebrzysty, trochę ostry.

— Pan mnie nie schwyta!

Zniknęła wśród drzew.

Filip słyszał jej lekkie kroki i puścił się w pogoń naoślep z płonącą głową, w której czuł zamęt.

Nagle śmiech zabrzmiał tuż po za nim. Kiedy się obrócił zobaczył o kilka kroków przed sobą bladą sylwetkę kobiecą.

— Widzi pan — rzekła z naciskiem Teresa — że mnie bardzo trudno schwytać... A! oto księżyc...

Pomiędzy drzewami zaczynał przeświewać się łagodny blask, niby światło przyćmionej lampy. Wreszcie na niebo wypłynął krąg czerwonawy, zimny.

— Oto ręka, którą pan chciał przytrzymać — powiedziała Teresa z jakąś dwuznaczną słodyczą — to jest ręka przyjaciółki...

Filip ujął podaną sobie rączkę z pewną bojaźnią. Ukląkł, żeby złożyć na niej pocałunek.

Doprawdy, pan mi zanadto nadskakuje! — zaśmiała się — Proszę się strzedz... bo...

— A jeśli ja panią kocham?...

Pan... mnie?... Rzeczywiście.

Ujęła jego ramię i prowadziła go znowu po trawniku, podobnym do wielkiego zielonawego jeziora.

— To straszne, co pan mi powiedział! — szepnęła młoda kobieta — Ale to nieprawda chyba...

— To równie prawdziwe, jak to, że żyję!

— Tem gorzej. Nie wolno pokochać tak prędko. A jeżeli pan naprawdę kochasz mnie, biedny chłopcze... Pomyśl! Ja wkrótce odjadę daleko... daleko... I nie prędko pan mnie zobaczy znowu, jeżeli wogóle... Nie trwoni się tak marnie miłości...

— Czyż miłość pyta o naszą wolę? Zresztą cierpieć przez panią, to także rozkosz.

Zwróciła ku niemu twarz, przyjaźnie uśmiechniętą, ale nie odpowiedziała ani słowa.

— — — — — — — — — — — — —

Przez cały następny tydzień spotkania ich były krótkie.

Teresa okazywała usposobienie nierówne. Bywały chwile kiedy traktowała Filipa jak obcego, niekiedy zaś stawała się prawie pieszczotliwą.

Ani jedno, ani drugie nie miało o żadnem rozwiązaniu.

Teresa była oszołomiona tem przeżyciem, w którem miłość wczorajsza w dziwny sposób łączyła się z miłością dzisiejszą.

Jednakowoż skłonność jej do fantastycznego, sobowtóra Piotra Givreuse wzrastała z nieprzewidzianą szybkością. Zrodzona z podobieństwa tych dwóch ludzi, różną była wszakże w swej istocie. Nowa miłość pomimowoli Teresy miała jakiś odcień większej poufałości i serdeczniejszej przyjaźni.

Pewnego dnia młodej wdowie, przysłuchującej się temu, co mówi jej Filip, błysnęło nagle podejrzenie. To podejrzenie już kilka razy musnęło jej mózg uważała je jednak za tak bezsensowne, że odrzucała je odrazu.

Teraz jednak zaczęła się nad niem zastanawiać.

Uważnie a nieznacznie śledziła Filipa. Zadawała mu rozmaite podstępne pytania.

Młodzieniec miał się na baczności. Przejście z panną Varsennes pouczyło go, że nie wolno mu oddawać się wspomnieniom. Odtąd o przeszłości swej mówił nadzwyczaj ostrożnie.

Teresy nie dziwiło to specyalnie, ale podejrzenie trwało. Była nawet chwila, kiedy zdawało się jej, że z pewnością Piotr Givreuse jest przy niej i gra rolę Filipa.

— Idyotyzm!... — myślała. — Pocóżby to robił?

Podejrzenie nie ustępowało.

— A gdyby to jednak był Piotr?

Teresa nie lubiła żyć w niepewności i wahaniu.

Postarała się więc o najdokładniejsze informacye o życiu obecnem obu młodzieńców, o ich pracach, rozrywkach i wyjazdach.

Dowiedziała się także, jakim jest stosuek uczuciowy Piotra Givreuse do Walentyny Varsennes.

— Więc dlatego Piotr nie przybył na moje wezwanie? — zastanawiała się. — Ale jeśli moje podejrzenia są słuszne, to byłoby wytłomaczonem dlaczego on chce wobec mnie grać rolę swego sobowtóra Filipa. W takim razie postąpiłby niezwykle chytrze, wstrętnie, haniebnie!... Nie ryzykując nic miałby dawną i nową miłość.

Teresa śmiała się sama że swych przypuszczeń, co nie przeszkadzało krążyć jej koło zamku Givreuse. Szpiegowała Piotra.

Pewnego dnia spotkali się. Piotr ujrzał nagle Teresę przed sobą.

Zatrzymał się i utkwił w młodej kobiecie spojrzenie pełne naiwnego zdumienia.

— Pani Teresa... — szepnął.

Teresa badała rysy jego twarzy z gorączkową ciekawością. Bardzo szybko spostrzegła, że Givreuse ma policzki szczuplejsze od Filipa, cerę bledszą i w całej swej istocie coś więcej marzycielskiego, miękkiego, niezdecydowanego.

— To on, to Piotr! — powiedziała sobie. — To ten, którego kochałam!...

Z radością poczuła, że ta dawna miłość, tak gwałtowna i gorąca, nie wzrusza jej już dzisiaj. Uczucie dla Piotra zniknęło, umarło. To dla Filipa uderzało jej mocniej serce.

Teresa odgadła w Piotrze to samo zobojętnienie i nawet nie była gniewna o to, trochę tylko podrażniona.

— Wie pan, widziałam pańskiego sobowtóra — powiedziała z odrobiną ironii. — Bezwątpienia podobieństwo jest fenomenalne. A jednak jabym się nie omyliła.

Stali tak jeszcze przez chwilę, zamieniając z sobą słowa nic nie znaczące, konwencyonalne, obojętne.

Potem Teresa podała Piotrowi rękę i odeszła bez jakiejkolwiek do niego urazy.

— — — — — — — — — — — — — —

— Piotr uważał, że powinien zatelegrafować do Filipa. Koło wieczora Filip przyjechał do zamku.

— Spotkałem dzisiaj Teresę — rzekł mu Piotr, kiedy znaleźli się sam na sam.

Filip pobladł. Targnęła nim fala gwałtownej zazdrości.

— Gdzie? — zapytał głuchym głosem.

— Na drodze do Avranches.

— Ona chciała umyślnie tego spotkania.

— Nie sądzę. Mówiliśmy z sobą tak krótko i tak obojętnie!

Filip szedł przez jakiś czas ze spuszczoną głową. Głęboka zmarszczka ściągnęła mu brwi. Usta zacisnęły się wyrazem surowego smutku.

— Nie chciałbym — rzekł w końcu — aby życie moje stało się jeszcze smutniejszem. Poddałem się woli losu. Pragnąłem, żeby pomiędzy nami nie było żadnej rzeczywistej rywalizacyi. I dlatego pytam: Czy Teresa jest ci zupełnie obojętną?

— Najzupełniej.

— A ja kocham ją.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tragedya Ukrainy.

Nad całą Ukrainą zawieszono stan wyjątkowy, zarząd kolei objęło wojsko niemieckie. Oto ostatnia wiadomość, jaka nadeszła po zamordowaniu przedstawiciela niemieckiego w Kijowie, gen. Eichhorna. Na widnokręgu politycznym rozbłysł przed miesiącami wielki fajerwerk, który nazwano „wolną Ukrainą". Nowe państwo, wyłonione nie wolą zamieszkującego je narodu, ale wolą tych, którzy w Brześciu Litewskim ferowali wyrok na Rosyę. Dzisiaj, prawie równocześnie z tem, kiedy twórcy Ukrainy znaleźli się w więzieniu niemieckiem, skazani nie przez sąd własny, ale swych dotychczasowych opiekunów, nad ich ojczyzną zawisa karząca ręka niemiecka. Kraj, dotychczas wolny, staje się krajem okupowanym.

Czyja w tem wina, że jest tak, a nie inaczej? Odpowiada na to pytanie bardzo dobitnie gazeta niemiecka, wiedeńska „Arbeiter-Zeitung", która, omawiając przyszły los Ukrainy, pisze:

„Czy możemy stan, jaki stworzył na Wschodzie pokój w Brześciu, naprawdę nazwać pokojem? Nie, tak żaden pokój nie wygląda. Może on być dopóty bezpiecznym, dopóki brak mu broni. Dzika nienawiść budzi się tam przeciwko nam. Uzbroiłaby ona miliony, gdyby się koalicyi udało dostarczyć im broni. Gnieciemy na Wschodzie bezsilnego nieprzyjaciela, ale pokoju tam nie mamy. Siła chciała wymusić na Wschodzie pokój. Stan, jaki ona stworzyła, nie jest nim zupełnie. Dla tych, którzy w siłę wierzą, to, co się dzieje na Wschodzie, jest strasznem ostrzeżeniem. Czy może być obojętnem dla naszej przyszłości, że na Wschodzie stoi sto milionów ludzi, pełnych nienawiści do nas i to nie do przejednania? Czy pokój brzeski, który taką nienawiść rozpętał, może być trwałym pokojem? Czy wobec tego, nawet gdyby to było możliwem, na Zachodzie zawrzeć taki sam pokój, należy do tego dążyć? Zamiast i tam złagodzić nienawiść, rozpętać ją do najwyższego stopnia? Nawet pobity może po krótkiem zawieszeniu broni chwycić za miecz. Trwały pokój może dać tylko porozumienie ludów, ich pogodzenie się".

Tak o położeniu na Wschodzie sądzą ci, których nie zaślepia szowinizm narodowy.

Illustracya nasza przedstawia chwilę, kiedy zaczynała się historya Ukrainy. Po pamiętnej nocy w Brześciu Litewskim, w czasie której wykreślono na mapie przyszłe jej granice, do wspólnego stołu zasiedli jej twórcy. Dzisiaj część ich w więzieniu, a część siłą robi w kraju porządek.

Żniwa.

Lato w całej pełni rozwinęło swą krasę. Na polach stoją zżęte snopy, a w pocie czoła tysiące włościan uwijają się skrzętnie, aby zebrany plon zabezpieczyć na dalsze ciężkie chwile. Zwłaszcza w obecnym roku wszyscy z naprężeniem śledzą wyniki żniw, gdyż od tego zależeć będzie, czy przetrzymamy bez klęski głodowej do przyszłych zbiorów. Rezerwowe zapasy środkowej Europy wyczerpały się już oddawna. W obecnym roku żyliśmy kosztem różnych naszych sąsiadów. Z Ukrainą zawarły mocarstwa centralne t. zw. pokój chlebowy, który, niestety, zawiódł pokładane w nim oczekiwania.

Wedle wiadomości z rozległych obszarów środkowej Europy, zbiory tegoroczne osiągnęły przeciętnie średni stopień wydajności. Stosunkowo najlepsze były na Węgrzech.

U nas, w Galicyi, gdzie połowa prawie ziemi stoi opuszczona z powodu braku rąk do pracy, to, co ziemia dała, nie wystarczy na wyżywienie tych milionowych rzesz, które na nowe zbiory czekają.

Illustracye nasze przedstawiają pracę żniwiarzy węgierskich na rozległych łanach dunajowej równiny.





Żniwa: Kosiarze i odbieraczki na pańskim łanie. Odpoczynek po pracy. (Woj. kwat. pras.)



Tragedya Ukrainy: Bankiet na cześć delegacyi austryackiej w Brześciu Litewskim. Za stołem siedzą: 1. prez. min. Hołubowicz, 2) ambasador niemiecki bar. Mumm, 3) ambasador austryacki hr. Forgach, 4) marszałek v. Langner, 5) generał Gröber, 6) minister ukraiński Kaczenko, 7) austryacki delegat Wassilko. (Woj. kw. pr.)

Kronika tygodniowa.

Wspominając w jednej z poprzednich kronik o magistrackim proroku, nie myślałem bynajmniej, iż go przez to dotknę. A jednak tak się stało. Moją notatką uważał się obrażonym i nadesłał mi list, w którym streścił to, co już powiedział, zapewniając nadto, że jeszcze powie, gdy czas przyjdzie odpowiedni

Bardzo żałuję, że nie mogę wywodów jego podać *in extenso* do wiadomości ogółu, choć na to w zupełności zasługują, w wojennym przecież czasie jest się skrępowanym różnymi względami, głównie zaś cenzurą, która z wszelką pewnością lwią część jego wywnętrzań zabrałaby dla siebie, pozostawiając tylko sam szkielet. Z niego zaś nie mógłby nikt, jak się to potocznie mówi, „być mądrym“. Prorok to istota wyższa, obdarzona wieszczym duchem i dająca się nieraz zbyt unieść proroczej fantazyi, nie licząca się też z rzeczywistością, z którą kronikarz liczyć się musi na każdym kroku, nie chcąc, by jego tygodniowa praca świeciła białemi plamami.

Są one, co prawda, bardzo interesujące, każdy bowiem z Czytelników, zwłaszcza zaś Czytelniczki łamią sobie nad tem głowę, co też tam być mogło, gdzie jest tylko biały papier, ale w każdym razie lepiej, jeśli się można obejść bez tych plam.

Lepiej na tem wychodzi nawet i sama redakcya, gdyż nie jest molestowaną przez P. T. Ciekawych, chcących wiedzieć, co też było w tem miejscu, którego niema, a nie mogących zrozumieć, że takiej tajemnicy zdradzić nie wolno, jeśli się nie chce wejść w konflikt z ustawą prasową, która jest rodzoną siostrą ustawy karnej i może także zapewnić na pewien okres czasu bezpłatny wikt i pomieszkanie na koszt rządowy.

Są też ludzie, którzy *ex re* białych plam w piśmie zwracają się do wydawnictwa z uzasadnionemi zresztą pretensyami, iż płacą za papier zadrukowany, a nie za czysty.

Z tych więc powodów, wyżej i niżej wyliczonych, nie mogę przepowiedniom proroka magistrackiego poświęcić takiej wzmianki, na jaką zasługują. Mogę się i muszę nawet ograniczyć tylko do tych kilku słów, iż jak dotąd, z małymi wyjątkami prawie wszystkie się spełniły. Chodzi teraz o to, by się spełniła najważniejsza przepowiednia, to jest, iż obecna wojna skończy się w październiku (dałby Bóg, by w roku bieżącym, choć tego prorok wyraźnie nie powiedział...), gdyż piątą wojenną zimę będzie nam trudno przetrzymać.

Wobec tego byłoby ze wszech miar wskazanem, by ów w proroczem natchnieniu zapowiedziany październik, przypadł w samej rzeczy na rok Pański 1918.

Niechaj jednak nikt nie myśli, że, choćby się nawet w październiku roku bieżącego wojna miała skończyć, to już raz na zawsze w łeb weźmie. Broń Boże!.. Prorok wyraźnie zapowiada, że w pewnych odstępach powtórzy się jeszcze, ale daleko od nas, a o stałym i zupełnym pokoju nie można mówić przed rokiem 1957.

Termin zbyt daleko zakreślony, ale kronikarz powiedział sobie, że, niech będzie co chce, poczeka cierpliwie nawet i do tej daty, by się przekonać, czy się prorok nie omylił.

To jedno może nas pocieszać, że te następne wojny, które mają według jego przepowiedni wybuchać w pewnych odstępach czasu, będą od nas oddalone, że się więc na naszej skórze nie odbiją, jak obecna. Jako osobiście nie interesowani, będziemy mogli odegrać wówczas rolę państw neutralnych, to jest w myśl przysłowia, że gdzie się dwa bije, tam trzeci korzysta, robić na wojnie dobre interesy, jak to dziś czyni Szwajcarya, Holandya, Szwecya, Norwegia itd. Nawet Hiszpania źle na wojnie nie wyszła, pozbyła się bowiem, właśnie dzięki niej swej influenzy, która stamtąd wyemigrowała. Jedna Grecya na neutralności interesu nie zrobiła, ale to nie jej wina, ale fatalnego zbiegu okoliczności. Ona miała także chęci jak najlepsze.

W czasie przyszłych wojen otwiera się więc znowu pole do popisu dla naszych przemysłowców, niechaj też nie proszą Boga, by obecna wojna nigdy końca nie miała. Neutralne zyski mogą i powinny być również bardzo pokaźne, pokaźniejsze nawet niż wojenne, zwłaszcza, że interesom można się oddać w zupełności, nie potrzebując się oglądać na jakieśtam „musterunki“, „Enthebungi“ i tym podobne wojenne dolegliwości, dające się jeszcze i dziś, już w piątym roku trwania wojny, niejednemu we znaki. Niechaj każdy przemysłowiec pamięta o tem, że neutralna Szwecya tylko dzięki wojnie, zdala od niej się toczącej, mogła się pozbyć śmierdzących śledzi, co jej przychodziło przedtem z trudnością.

To ich powinno uspokoić i chyba nie znajdzie się nikt, kto nie życzyłby sobie, by obecna wojna skończyła się tego roku w październiku. Co zaś do dalszych, to już przyszłość pokaże.

Gdzie szukać terenu dla nich, tego nie wiem, w każdym razie nie w Europie, która ma wojny już wyżej uszu. Azya i Afryka ucierpiały dotąd stosunkowo niewiele, Ameryka zaś zupełnie nic, tam też powinny się rozegrać wypadki przyszłości. Wiadomą jest powszechnie rzeczą, że najczęściej wspólnicy przy obrachunku strat i zysków biorą się za łby, nic też nie byłoby w tem dziwnego, gdyby tak Stany Zjednoczone wzięły się za bary z Anglią lub Japonią, dawno już następującą im na pięty. Japonia mogłaby sobie przypomnieć, że przedstawiciele rasy żółtej, to jest Hindusi, jęczą od lat w niewoli angielskiej i zażądać dla nich prawa samostanowienia o sobie, które Anglia pragnęłaby stosować, ale tylko wobec ludów jej berłu nie podlegających. Ale czy Japonia o tem pomyśli?...

Niechaj się zresztą czubi kto chce, z kim chce i kiedy chce, bylebyśmy my tylko mieli spokój i mogli już raz odsapnąć po czteroletniem utrapieniu, które stało się naszym udziałem za winy niepopełnione. Anglia i Niemcy miały ze sobą obrachunki, a na tem wyszliśmy najgorzej my, Bogu ducha winni. Mamy wprawdzie w perspektywie Królestwo Polskie, ale ono ogromnie przypomina Królestwo Niebieskie, jest bowiem tylko obiecane, a nie ma granic. Ale wierzymy, że kiedyś stanie się ono naszym udziałem, a błogosławieni wierzący i cierpliwi.

Jeśli to prawda, że Lloyd George wybiera się w podróż do Berlina, to byłby to znak niechybny, że w samej rzeczy może nam grozić niebezpieczeństwo pokoju i nic też dziwnego, że, przeczytawszy o tem wzmiankę w *Morgenzeitung*, tak się tem ucieszyłem, jak łysy, gdy mu się śni, iż jest u fryzyera, a ten mu strzyże włosy, on zaś przy tej operacyi nie potrzebuje nawet zdejmować kapelusza.

Czekajmy więc cierpliwie, choćby nawet i do października (byle nie do... maja!... przyp. zecera), a kto wie, czy się czego nie doczekamy i czy nie spełni się przepowiednia magistrackiego proroka, któremu w nagrodę obiecuję portret wraz z odpowiednim artykułem w *Nowościach illustrowanych*.

Że, dzięki wojnie, świat wywraca się do góry nogami i to we wszystkich dziedzinach, tego mi chyba nikt nie zaprzeczy.

W poprzednim numerze odpowiedziałem „stałemu Czytelnikowi“ na poczynione mi zarzuty i dziś bardzo żałuję, iż się tak pospieszyłem, wczoraj bowiem dopiero znalazłem w jednem z pism niemieckich notatkę, udowadniającą niezbicie, jak brylantowo powodzi się w czasie wojny tak zwanym intelligentom, zwłaszcza z klasy urzędniczej. Czytamy tam, iż we Wiedniu zwykły czeladnik bednarski, sporządzający beczki dla producentów win, zarabia tygodniowo do tysiąca koron, gdy natomiast radca dworu musi się cieszyć tysiącem pięćset, a szef sekcyjny tysiącem ośmset i to miesięcznie.

I dziwić się tu, że ten lub ów urzędnik, chcąc sobie byt poprawić, ogląda się za jakiemś bocznem źródłem dochodu, a wiedząc, że inni robią interesy na handlu, sam handlu się chwyta. W przedwojennym czasie mówiło się o takim, że to człowiek praktyczny, pamiętający o przyszłości, dziś rzuca się nań gromy i wyzywa od paskarzy. Naturalnie nie biorę tu w obronę tych, którzy zawodowo poświęcają się handlowi paskarskiemu i bez litości drą skórę z bliźnich. Tacy byli i są potępienia godni. Jeśli jednak ktoś na tem polu uczciwie pracuje, jedynie tylko dlatego, by sobie bodaj trochę dolę poprawić, na takiego nie powinno się rzucać kamieniami i stawiać go w jednym rzędzie z niesumiennymi spekulantami.

Kronikarz handlem się nie trudni ani zawodowo, ani przy sposobności, a jednak zrobił niedawno jeden jedyny interes wojenny. Sprzedał mianowicie parasol, którego nie używał. Był on wprawdzie jedwabny, ale już nie pierwszej młodości, przeszedł też w obce ręce za dziesięć koron, gdy w swoim czasie kosztował dwanaście. W chwili sprzedaży nie stały parasole tak wysoko w cenie, jak dziś, nabywca zadowolony był, że dostał go tanio, sprzedający także, że pozbył się niepotrzebnego grata, zwłaszcza że uzyskaną zań kwotę obrócił na zakupienie dwu par sznurowadeł do trzewików, których właśnie potrzebował. Nowonabywca owym parasolem nie cieszył się zbyt długo, znalazł bowiem amatora, któremu go odstąpił za tę samą cenę, a ten ostatni wyszedł na tem kupnie najlepiej. Widocznie parasol ów był szczęśliwy... Poszedł z nim do kawiarni i tam odmieniono mu go na zupełnie nowy, jedwabny, o co się bynajmniej nie pogniewał.

Wspominam o tem dlatego tylko, aby przekonać „stałego Czytelnika“, że każdy z nas ma pewną żyłkę do handlu i jeśli go nie nadużywa, społeczeństwu krzywdy nie wyrządza. Bo, czy kto poniósł szkodę z tego powodu, że kronikarz sprzedał stary parasol, którego nie potrzebował, a natomiast kupił sobie sznurowadła, bez których się nie mógł obejść?... Jeden jedyny fabrykant parasoli mógłby się czuć pokrzywdzonym, iż owe pertraktacye handlowe odbyły się bez jego współudziału i on nic przytem nie zarobił.

Cyfry mówią za siebie. Radca dworu pobiera miesięcznie tysiąc pięćset koron gaży i z tego musi wyżyć wraz z rodziną, jeśli był tak nieoględnym i, nie spodziewając się wojny, ożenił się, gdy mu się na miłość zebrało. Niebiosa obdarzyły go potomstwem, trzeba więc myśleć o tem, by rodzinie dać dach nad głową, okryć ją i wyżywić, nie mówiąc już o jakichśtam przyjemnościach, bez których życie się nie obejdzie.

I jak tu opędzić to wszystko z owego tysiąca pięciuset koron?... Jest to na oko może i poważna kwota, w samej zaś rzeczy, wobec obecnych stosunków i drożyzny, tak marna, że dobrze sobie trzeba nałamać głowę, by z niej opędzić najniezbędniejsze potrzeby.

A ile to musiał się nabiedować i nameczyć, nim dochrapał się tego stanowiska, którego mu inni zazdroszczą, ani nie myśląc nawet o tem, w jakich on się czasem znajduje tarapatach finansowych!... I to, niestety, zbyt często, chyba, że ma prywatny majątek. Ale takich szczęśliwców, którzy mieli bogatego ojca, nawet i pośród radców dworu jest niewielu.

I cóż ma robić w tem krytycznem położeniu?... Chyba się powiesić... Szuka więc środków ratunku i szczęśliwy jest, jeśli je znajdzie. Racyę miał ten, kto dolę urzędniczą nazwał „błyszczącą nędzą“.

Jakżeż wobec owego hojnego uposażenia wygląda teraz żądanie kelnerów, domagających się, jak to z ust jednego z przedsiębiorców gospodnio szynkarskich słyszałem, zamiast dawnych napiwków lub podatku, trzech tysięcy koron miesięcznej płacy i całego utrzymania?... Czy to może trochę nie zadużo?... Toć i minister, co także we fraku chodzi i różnym ludziom musi się kłaniać, więcej nie pobiera, zwłaszcza, że o utrzymanie sam się musi starać!...

Kelnerom należy się także poprawa bytu, ale w pewnych granicach, w jakimś stosunku do innych klas pracujących równie uczciwie i wydatnie, bez których trudniej nawet byłoby się obejść.

Napiwek, to coś uwłaczającego godności człowieka. Na to zgoda. Daleko odpowiedniejszym byłby pewien przymusowy podatek, ale nie w tej wysokości, w jakiej go kelnerzy proponowali. Najodpowiedniejsze przecież byłoby utrzymywanie kelnerów przez gospodarza, który mógłby bez obawy na ten cel pewną część swych dochodów poświęcić, zwłaszcza że uwzględniłby to przy normowaniu cen potraw i napojów, tak, że ucierpiałaby na tem jedynie kieszeń konsumenta.

Są przecież między publicznością restauracyjną i kawiarnianą zwolennicy napiwków, wychodzący z tego założenia, że tylko w tym wypadku bywają należycie przez personal obsłużeni, że więc z chwilą zniesienia napiwków lub zamiany ich na przymusowy podatek, byliby skazani na łaskę i niełaskę obsługi.

Czy mają ci, którzy wychodzą z tego punktu zapatrywania, racyę, w to nie wchodzę, gdyby mnie przecież kto o zdanie zapytał, powiedziałbym, że obowiązkiem gospodarza jest utrzymywanie personalu i staranie o niego, a jak się tam już oni między sobą ułożą, to nie nasza rzecz. Grunt, by nasza kieszeń na tem nie ucierpiała.

Wiem o tem, że tak, jak dziś rzeczy stoją, są w krakowskich zakładach gastronomicznych kelnerzy, mający takie dochody, iż nie zmieniliby się na stanowisko już nie z radcą dworu lub wiedeńskim bednarzem, ale nawet z ministrem z teką i prawem do emerytury.

Z tygodnia.

Rada Stanu w obronie Chełmszczyzny.

Na posiedzeniu Rady Stanu z dnia 29 lipca odczytano wniosek nagły Klubu międzypartyjnego i komisyi porozumiewawczej stronnictw aktywistycznych.

„Rada Stanu uchwalić zechce:

W prasie warszawskiej ukazała się depesza ajencyi W. A. T. z Wiednia treści następującej: W dniu wczorajszym odbyła się tu wymiana not ratyfikacyjnych w sprawie niemiecko-ukraińskiego traktatu pokojowego.

Wobec zaniepojenia opinii publicznej tą wiadomością, Rada Stanu wzywa rząd, aby poczynił energiczne kroki w celu ochrony interesów państwa polskiego, zagrożonych przez traktat brzeski“.

Z mowy wicemarszałka Rady Stanu, p. Bądzyńskiego, w sprawie traktatu brzeskiego, przytaczamy wyjątki.

Sprawa oderwania Chełmszczyzny — mówi wicemarszałek — była od dawien dawna w pewnym kierunku zdecydowana. Gdy Rosya gubernię chełmską wydzielała, miała pomocniczą kampanię w pismach niemieckich z tego samego obozu, który piętno kładzie na pewne tony polityki niemieckiej. Była to kampania pomocnicza, idąca na rękę Rosyi i popierająca oderwanie Chełmszczyzny.

To są rzeczy dawne, ale mamy i rzeczy bliższe. Do tych rzeczy bliższych zaliczamy ten fakt, że gdy w całem Królestwie nadzyczajnie szybko zorganizowały się zarządy cywilne, prawie ściśle zatrzymały się na granicy gub. chełmskiej, a zatrzymały się w roku 1915. To wiele mówi.

Z ust p. Cziczerina usłyszeliśmy tego rodzaju frazes: „Pogląd, że Polska, posiadająca nie całą gub. chełmską, lecz tylko część jej, nie jest zdolna do życia, jest całkowicie dowolny“. Gdybym tą metodą sprawy międzynarodowego znaczenia chciał rozstrzygnąć, tobym każdą sprawę mógł rozstrzygnąć jak chcę. Bo zapytałbym się, jak wielką szkodę przynoszę, czy ja zabijam ten organizm, czy nie i jeżelibym doszedł do wniosku, że nie zabijam, to uważam, że mam już dostateczną metodę do pozytywnego działania. Gdyby chirurg, potrzebujący materyału doświadczalnego, działał temi samemi metodami, to kazałby swemu służącemu sprowadzić pacyenta z ulicy, obciąłby mu zdrową nogę i powiedziałby mu: „Wszak żyć bez tej nogi możesz, ja ci krzywdy nie zrobiłem“.

Wyniki wojny — zakończył wicemarszałek — trudne są do przewidzenia. Możemy jednak bez obawy powiedzieć, że czekają nas dwie ewentualności: albo ulegniemy przemocy, albo też te stosunki ułożą się w myśl współczesnych dążeń ideowych. Na tle przemocy sąsiedzi nasi spotkają u nas zawsze opór. My nieraz konieczność tego oporu przeżywaliśmy, mieliśmy nieraz okresy marazmu narodowego, mimo to zawsze powracaliśmy do owej ideologii. Ona ma pierwiastki nieśmiertelności. Do takich stosunków nie tęsknimy. Szukamy zawsze innego wyjścia, choć mamy wiarę, że i najgorsze wytrzymamy. Wierzymy jednak, że zbliża się inna epoka.

Nagłość wniosku Rada Stanu uchwaliła jednomyślnie, poczem, również jednomyślnie, po przemówieniu reprezentantów stronnictw, przyjęto sam wniosek.



Wielka bitwa we Francyi: Jeńcy amerykańscy. (Fot. Bufa)

Nowy kamień niezgody.

Następca dra Seidlera, bar. Hussarek, objął ster rządów w Austryi pod hasłem zgody narodowościowej. W swej mowie programowej i w pierwszych swych wystąpieniach podkreślił silnie, że nie pragnie prowadzić dalej polityki wyłącznie w duchu niemieckim, ale chce iść drogą porozumienia. Na tej podstawie Koło Polskie złagodziło swój ton opozycyjny wobec rządu austryackiego, Czesi i Słowianie południowi dali milcząco do zrozumienia, że gotowi są do rokowań. Parlament austryacki mógł uchwalić budżet dla monarchii, którego poprzedni rząd uzyskać nie był w stanie. Zdawało się, że rozpoczyna się nowa era w życiu konstytucyjnem.

Tymczasem horyzont polityczny szybko się zaciemnił. W kilka dni po rozpuszczeniu parlamentu austryackiego na ferye letnie, bar. Hussarek wydał zarządzenie, które do żywego wzburzyło opinię publiczną w Czechach. Mianowicie gazeta urzędowa ogłosiła rozporządzenie ministra sprawiedliwości o kreowaniu sądu obwodowego w Trutnowie w Czechach. Sprawa tego sądu przewija się przez historyę walk czesko-niemieckich już od szeregu lat. — Czesi zawsze najgorręcej przeciw jego utworzeniu protestowali, widząc w tem pierwszy krok do podziału Czech na część niemiecką i czeską. O sąd w Trutnowie rozbijało sobie głowę już kilka gabinetów. Dr. Seidler przyobiecał Niemcom, że zarządzenie to wyda. Nie spełnił jednak obietnicy.

Bar. Hussarek odważnie postąpił krok naprzód i tem samem znowu otwarcie rzucił Czechom rękawicę. Jako zręczny polityk, premier nie zamknął sobie jednak całkiem drogi do rokowań z Czechami. Rozporządzenie o kreowaniu sądu ma tę furtkę, że nie naznacza terminu, od którego sąd ten ma rozpocząć swe urzędowanie. Pozostawiono tę rzecz osobnemu rozporządzeniu. Istnieje więc jeszcze możliwość, że taki termin wogóle nie zostanie wyznaczony.

W Czechach wre. Dzienniki zapowiadają otwarcie, że w jesieni w parlamencie Czesi wystąpią z taką opozycyą, jakiej jeszcze nie było. Nowa walka, namiętna, gotuje się w Austryi.

Bar. Hussarek pragnie w jesieni zwołać krótką sesyę Rady państwa, aby na niej uzyskać nowe podatki, nowe źródła dochodów dla państwa. Wobec zapowiedzi Czechów los tej sesyi zaczyna być bardzo wątpliwy.

Katastrofa kolejowa w Oświęcimiu.

W ubiegłą sobotę wydarzyła się na linii kolei wiedeńskiej pod Oświęcimiem wielka katastrofa kolejowa, która pociągnęła za sobą liczne ofiary w ludziach. Pociąg osobowy, wychodzący z Krakowa w kierunku Wiednia o godzinie 12 w nocy, wpadł na pociąg towarowy i rozbił się. Przebieg katastrofy pełen był tragicznych momentów.

Około dwa kilometry przed wjazdem na stacyę Oświęcim znajduje się most kolejowy na Wiśle, zaś między mostem a stacyą stoi sygnał odcinkowy, wskazujący czy wjazd jest wolny, czy zamknięty. W nocy przybył z Krakowa pociąg towarowy i zatrzymał się przed sygnałem wskazującym „stój“. Po jakimś czasie pozwolono mu ruszyć z miejsca. W tej jednak chwili nadjechał pociąg mieszany, wychodzący z Krakowa o północy. Maszynista tego pociągu, widząc niebezpieczeństwo, chciał wstrzymać gwałtownie swój pociąg, składający się z 13 wagonów osobowych oraz 48 towarowych. I rzeczywiście osobowe wagony, idące tuż za lokomotywą zatrzymały się, jednakowoż siła pędu wozów towarowych była tak wielka, że wysadziła z szyn wagony osobowe, z których pięć runęło w nurty Wisły, a dwa zawisły w powietrzu.

Całe stosy wagonów z zerwanymi dachami, boczne ściany pogruchotane, a na nich strzępy zakrwawionych ubrań, dwa wagony zanurzone w wezbranych falach Wisły, a nad nimi wiszące w powietrzu i spiętrzone szkielety dalszych wagonów — oto wstrząsający nerwami widok, jaki roztoczył się na miejscu strasznego wypadku.

Na miejsce katastrofy zawezwano telegraficznie i telefonicznie pociągi ratunkowe z Krakowa, Bielska i Dziedzic, które też w krótkim czasie się zjawiły. Akcyę ratunkową prowadzili urzędnicy stacyi Oświęcim, oraz organa służby technicznej, przybyłe pociągami ratunkowymi, którzy z prawdziwem poświęceniem i wśród niezwykle trudnych warunków nieśli pomoc nieszczęśliwym ofiarom. Na miejscu katastrofy znaleźli się też wkrótce pp. lekarze: dr. Ślusarczyk i dr. Lemkram, lekarz wojskowy z Oświęcimia, dr. Piotrowski z Krakowa, oraz drowie Siegmund i Gross z Dziedzic.

Opatrzonych ciężko rannych wysyłano pociągami ratunkowymi do szpitali do Krakowa i do Bielska.

Akcya ratunkowa trwała kilka dni. Ostatecznie znaleziono sześć osób zabitych, między niemi cztery kobiety i dwóch mężczyzn. Trzydzieści sześć osób zostało lżej rannych, zaś pięć ciężko. Z tych ostatnich jedna kobieta jest umierająca.

Specyalna komisya zajęła się zbadaniem powodów tej strasznej katastrofy. Śledztwo energicznie prowadzone stwierdziło dotychczas, że prawdopodobnie winę ponosi budnik kolejowy, który na czas osobowego pociągu nie zatrzymał.

Z pośród katastrof kolejowych, jakie w Austryi się wydarzyły, przypomina ta wielką katastrofę kolejową pod Turką w Galicyi wschodniej, przed niespełna dwudziestu laty, gdzie woda wezbrana podmyła most kolejowy. Runął on w chwili, gdy pociąg osobowy przez niego przejeżdżał.



Wielka bitwa we Francyi: Cofająca się 21 cm. baterya niemiecka z pozycyi nad Marną. (Fot. Bufa)

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego